

# ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej  
i wiadomościom literackim.

Rok I.

Warszawa, dnia 3 lipca 1909 r.

№ 27.

Wacław Gąsiorowski.

## EMILIA PLATER.

16

Powieść historyczna.

Ojciec Jasiński słuchał w milczeniu dowodzeń rejenta. Czy trwał przy swoim, czy też ulegał argumentom, nie podobna było dociec, bo ciemna, ogorzała twarz dominikanina stężała w bezruchu.

— Więc jakże, postrzegasz, ojcze dobrodzieju, he? Cóż?! — zatriumfował rejent.

Zakonnik podniósł zlekka głowę i spojrzał przed się przygaśłym, zamglonym wzrokiem. Rejent uśmiechnął się pobłaźliwie. Gdy naraz oczy dominikanina padły tam, kędy ponad skrzynią, na ścianie błyszczwały klingi skrzyżowanych karabel i jakby ze stali, dziwerem tkanej, skier poczerpnęły.

— Mości rejencie, trzeba je ukryć!

— Ukryć? Kogo—co!—zdumiał się imć Raszanowicz.

— Szable! Tak! Niech w oczy nie kłóją.

— Ależ...

— Trzeba,—powtórzył głucho zakonnik. Mogą je zabrać... Są już rozkazy do układania spisu osób, które broń posiadają. Na pierwszy znak, konfiskata się zacznie...

Imć Raszanowicz zacietrzewił się.

— A toż co nowego! A toż jakim prawem! Mnie, mnie odebrać moje rodzone, dziadowskie

szerpenty! Strachy na lachy, mości dobrodzieju. Do gubernatora z protestem bym szedł. Toć pamiątki!

— Wiem, co mówię.

Ta pewnoś siebie tknęła Grużewskiego.

— Cóżby komu zawadzać mogły takie trzy karabele!

— Trzy karabele to troje ramion w potrzebie! — odparł ojciec Jasiński, nie patrząc na Juliusza.

Rejent poruszył się niespokojnie.

— Czy są, ojcze, nowiny?

— Tak i nie. Różnie mówią.

— Lecz przecież nie bez kozeiry powiadacie!

Dominikanin spojrzał przelotnie na Grużewskiego i zawahał się.

— Być może, tymczasem nie chciałbym całego towarzystwa zajmować niewdzięcznym przedmiotem.

Imć Raszanowicz skinął domyślnie zakonnikowi. Juliusz do siebie wziął to porozumienie i rzekł wyzywająco:

— Istotnie, bardzo niewdzięczny przedmiot, bo jeno bałamuctwo sporzący.

— Żyjemy w czasach, że bałamuctwa od prawdy odróżnić nie podobna — bąknął dominikanin. — O nowiny ciężko.

— Jak komu!

— Niewątpliwie nie panu—dał cierpko zakonnik.

Grużewski pobladł. Sięgnął w zanadrze, wyciągnął zwitek papierów, które mu hrabianka wręczyć panu Karnickiemu poleciła, i rzucił je hardo na stół.

— Ciekawys, panie rejencie! Proszę! Czytaj!

Pan Raszanowicz rozłożył papiery, wpatrzył się, lecz z alteracji wielkiej, o którą go uniesienie dzieżdica Kielm przyprawiło, nic wyczytać nie mógł. Odsunął więc papiery zakonnikowi. Ten wziął je z widoczną nieufnością, szarpnął kartkami i już usta do skrzywienia wygiął, gdy nagle żyły mu nabrzmiały na skroniach a oczy jęły mknąć szeregami liter, coraz szybciej, coraz gwałtowniej.

Napróżno rejent zagadywał do ojca Ludwika, napróżno o treść papierów pytał, zakonnik ogłuchł raptem. Już ostatnią kartkę pochłonał, już pustego papieru dosięgnął, a jeszcze oderwać się odeń nie mógł.

Aż kiedy rejent znów się ozwał,—dominikanin z za stoła się porwał, pierś krzyżem naznaczył i ręce do pożegnania wyciągnął.

— Bywajcie! Ani chwili dłużej nie mogę! Bogu was polecam!

Rejentostwo nawet zaprotestować nie zdołali, gdy ojciec Ludwik już sakwy zarzucił i zniknął za drzwiami.

Imć Raszanowicz zachnął się na tak dziwny obyczaj, lecz bacząc na dostojnego gościa, pośpieszył złe wrażenie zagadać.

— Sowizdrzał, dobrodzieju mój, niby kaznodzieja, niby głowa tęga a sowizdrzał.

— I postrzelony! — przyświadczyła pani rejencina.

— I dystrakt! — dodała panna Marysia.

— O to-to! Znam go nie od dziś. Ja mu o sejmie, a on o karabelach! Niechże sobie z Bogiem pacierze klepie. Znajdź mi, Maryś, okulary. Dobrodziej pozwoli że zajrzę do nowinek?

— Ależ proszę — mruknął niechętnie Juliusz, którego widok papierów drażnić zaczął.

— Lecz to wszystko po niemiecku! — wykrzyknęła pulchna krożańska, spoglądając mimochodem na zadrukowane karty.

— Po niemiecku!?

— A tak, bo rzeczywiście! — dodał Gruzewski, rad temu odkryciu.

— Phy, to i z okularów nie wielka dla mnie obrada. Żem nie postrzegł... hm, za sukienkę bym braciszka przytrzymał. Co robić?.. Chyba, że pan dobrodziej z łaskawości swej nam przełoży.

Juliusz uczuł się załapanym. Papierów tych nie rozpatrywał nawet, śmignął niemi na upokorzenie dominikanina, nie wiedząc, iż obcym językiem są drukowane.

— Bardzo chętnie, jeno...

— Aby zgrubsza, królu mój! Człek spragniony...

— Otóż właśnie, zgrubsza nie da się, a znów żeby wszystko... to nie podobna.

— Pietrusiu, jak możesz trzudzić...

— Uchowaj Boże, nie śmiałbym!

— Ja przełożę stryjciowi — ozwała się rezolutnie panna Marysia.

— Potrafiłabyś.

— Sześć lat przecież się uczyła! Gruzewski odetchnął i, odzy-

skując pewność siebie, przymówił dowcipnie pensyi benedyktynek krożańskich.

Marysia tymczasem główkę nad papierami skłoniła, chwyciła oddechu, zaczerwieniła się po same białka, bąknęła połowę pierwszego zdania i utknęła.

Jak po grudzie tłomaczenie się zaczęło. Marysi bowiem i wyrazów brakło i konceptu na rozwikłanie zagmatwanych myśli i tchu nawet. Aliści, kiedy już i rejencina zwątpiła ostatecznie o umiejętności swej bratanicy, kiedy rejent nie na żarty dociął babskiej nauce — Marysia najniespodziewanej zlepiła pierwsze zdanie i zdanie tak jędrne, tak zawrotne, że nikt przy stole bodaj żwawszem poruszeniem nie śmiał przerwać wyczekiwania na ciąg dalszy. I taczisa, która wokół Marysi zapanowała, cudowny, zda się, na pulchną krożańską wpływ wywarła. Nieśmiałość jej przysła, głosik pełnym uderzył dźwiękiem, brewki zwały się na znak pojęcia, wyraz za wyrazem szedł bez miągłości, bez zająknięcia. A jeżeli chwilami i teraz potknął się, zaciął na moment, to aby głębiej sięgnąć, aby silniej zabrzmieć.

Noc ponura, smutna, bo ani jednym mrugnięciem gwiazdy nie zdobna, ani wysrebrzonym rąbkiem chmur nie okazująca obecności księżycy, otulała Lucyn. I w przepastnym, zachłannym jej objęciu nikły kontury uliczek, rozplywały się niewymyślne linie domów i dworców, szczyła i tafla jeziora i czarne złomy ruin zamkowych.

Całun nocy już i ku czerwonym, migotliwym światełkom znaczącym nieśmiało ślad czuwania ludzkiego, jął się skradać, bo światełka gasły, konały, poddawały się i ginęły w kirze. Nakoniec jedno tylko światełko zostało, lecz to, miast uledek, miast drganiem śmiertelnym zgon swój rychły zapowiedzieć, rozpałiło się, jaśniej spojrzęło, dłuższymi smugami cienie przeszło.

Lucyn spał, spał snem twarzym, martwym snem. Pogryzł się, zapadł w pomrokę i trwał w niej, jak człowiek, którego całym szczęściem, jest bezruch, znieczulenie,

odrętwienie. I Lucyn znów jedną więcej noc niebytu by przeżył, gdyby nie owo jedyne światełko. Ono było mu okiem, ono serca biciem, ono dokumentem, że tu, na wędzie dawnych kresów Rzeczypospolitej, nie wszystko jeszcze skamieniało, zastygło.

A światełko biło stąd, kędy mieniła się kolorami twarzyczka Marysi Raszanowiczówny, kędy opasły jej paluszek sunął wierszami liter, kędy precz jeszcze czytanie trwało.

Trwało zaś nie dla powolności marysinej, lecz dla spragnienia słuchających, dla zapamiętania, które spieczone żarem usta wpija w strumień kryniczny i, ugasiwszy płomień, szuka dopiero rozkoszy, szuka świadomości nasycenia.

Trwało dlatego, że pierwsze czytanie poraziło zebranych tylu wydarzeniami, tylu imionami, tyle przywiodło obrazów a hasel rzuciło tyle, że ani ogarnąć, ani skojarzyć, ani wytrzymać oslepiających błysków, ani odetchnąć.

Aż kiedy panna Marysia po raz wtóry odczytała papiery, rejent odsapnął, otarł pot z czoła i zadecydował:

— Jeszcze o sądzie sejmowym!

A gdy panna Marysia żądany ustęp powtórzyła, rejencina kazała czytać od miejsca, poczynającego się od słów na „Saskim placu“. Dalej rejent o księdzu Staszicu, i znów o sądzie i jeszcze o czwartkach, o buncie w Zamościu i pośle Bonawenturze Niemojewskim, i o generale Kurucie i o śmierci Sokolnickiego i o francuskiej rewolucji i o belgijskich z niderlandczykami bitwach.

Gruzewski, który był najdłużej milczenie zachowywał a któremu w głowie się zmieścić nie mogło, aby on, on sam, tyle niesłychanych wieści w zanadrzu trzymał, bez intencji poznania ich, — dał się porwać zapałowi rejenta i napał się raptem:

— O poruczniku Szkaradzińskim, jako się w obliczu regimentów na własną szpadę nadział.

Marysia kiwnęła główką, odszukała żwawo potrzebną kartkę i

zaczęła czytać. Lecz teraz czy mocy jej przybyło, czy mózgowi zrozumienia, czy sercu strun nowych, dość, że wąty głosik pulchry krozańskiej jak dzwon uderzył i falami dźwięków popłynął aż ku modlitewnym poszeptom, aż ku tępego łomotowi ziemi o wieko trumienne.

Juliuszowi w oczach się zaćmiło. Jakiś zew potężny zaszumił mu w uszach, żarem wszystkie pulsa przejął.

A głosik Marysi Raszanowiczówny szedł dalej, ale coraz ociężalej, już ku omdleniu się słaniał, już statkiem sił gonił, gdy naraz całą siłą zabrzmiał i skończył razem z nieszczęsnym porucznikiem artylerji.

Marysia umilkła a echo jej głosu chrobotało jeszcze w starym, utykającym zegarze. Z zegara wreszcie ku świece przemieścić się musiało, bo te zaskwiercały żałośnie, płomienie pochylały i soplami toju jęły się otulać.

Rejent westchnął na rzeczy ostatecznej zadokumentowanie i do Juliusza się zwrócił, lecz nim się ozwał, tuż za szafą gdańską rozległ przeciągły jęk. Jęk tak zdławiony, takim bólem drżący, iż zebrani na równe nogi porwali się z za stoła i rzucili się ku miejscu, skąd się jęk dobywał.

Tu wszakże, śród stosu wszelakiego rupiecia i strużyn, ledwie odróżnić mogli ciemną, dygocącą łkaniem masę ludzkiego ciała.

— Wszelki duch! — pisnęła rejencina.

— Kto tu! Co tu? — zagroził rejent.

Marysia skoczyła i ze światłem nadbiegła.

Teraz dopiero z kąta za szafami wyłoniła się brunatna kapota i konopiasta czupryna Błażka-palestranta.

— Co tobie, smyku jeden! — uniósł się imć Raszanowicz, ale wspomniawszy na błażkowe sieroctwo, pochylał się ku siedzącemu w kuczki i sturchając łagodnie chłopca, burczał:

— Hę? No, no! Wylaż mi z tych strużyn! Ucięłeś się kozikiem? Co? A mówiłem, żebyś się

po omacku struganiem nie zabawiał! No, no, dosyć mazgajstwa.

— Pójdź sam na chleb z miodem! — dodała rejencina.

Błażek atoli, miast usłuchać, chliphnął na dobre.

Rejent znieść nie mógł dłużej beczenia.

— Co ci jest, do kroćset! gadaj mi całą prawdę!

— Bo... bo... ja im nie daruję!

— Komu? czego!?

Błażek dziabnął desperacko kozikiem postrużynach.

— Tego... tego porucznika, proszę jegomości!

## V.

W głuszy śmiertelnej począł się rok 1830 dla ziem zaniemeńskich i w głuszy kresu swego dobiegał. Jeszcze we wrześniu krążyły przeróżne wieści, zapowiadające niechybne co najserdeczniejszych pragnień ziszczenie, aż raptem ustały, zginęły. A jeżeli pojawiały się tu i owdzie razem z brykami podróżnymi, ciągnącymi bądź od pruskiej granicy, bądź od strony kongresówki, wnet gasły bezsilne.

Gdzież bo teraz było komu spodziewaniami się chołubić, gdzież złydy wiosennych tchnień szukać, gdy listopad już ostatkiem dżdżu bluzgał, gdy przymrozkami już drogę grudniowi mościł. I zadość miały zresztą zaniemeńskie tęsknice tych bałamuctw nieustannych, które na to bodaj rozpały błędne ogniki nadziei, aby ją na niegodziwsze trzęsawiska wyprowadzać, aby ją gwałtowniej pograżać.

Tyle lat zeszło, tyle rachub zawiodło, tyle niechybnych wróżb się nie ziściło!

A przecież ziem zaniemeńskich nie można było pomówić o żadne chorobliwe rojenia, o żadną pogoię za widmami.

Wszak ci, po trzecim rozbiórce Rzeczypospolitej, tym ziemiom własnie danem było stać się środowiskiem zboląłego ducha polskiego. Wszak ci tym ziemiom danem było narodzić i wykształcić nie tylko polskich statystów, nie tylko obywateli ale i żołnierzy, i poetów i wieszczów narodowych na pokrzepienie słabych, na zbudzenie

śpiących, na podniecenie ociężałych. Wszak, w chwili, gdy w Warszawie mowa polska zamierała pod pruskim jarzmem, gdy w Krakowie sypały się mury uniwersytetu, Wilnu nie tylko zezwalano na podjęcie brzemienia nauki polskiej, lecz usiłowaniami jego sprzyjano. Wszak zawierucha napoleońska na ziemiach tych skrzyżowała jeno buletyny z manifestami, bo w pierwszych i w drugich zarówno też same przekładała rękojmie. Wszak i potem jeszcze, i z Wiedeńskiego kongresu, i z otwarcia pierwszego sejmu królestwa, i z drugiego, i z zarządzeń wojskowych i z odezwań mężów stanu długo, długo szły ku ziemiom zaniemeńskim solenne napomknienia. A kiedy napomknień zabrakło, kiedy twarda rzeczywistość chciała wszystko przeszłe wymazać z pamięci, czyż mogły ziemie zaniemeńskie uwierzyć w trwałość tego zwrotu, nie po czytać go za nową próbę losu? Czyż mogły zaniechać snów, któremi żyły podotąd, czyż mogły nie wyglądać zwiastunów nowej ery, polityki, nowego państw europejskich układu? Czyż mogły w dociekaniach wyrzec pamięć niepodobieństw, dokonanych za sprawą Bonapartego, trwała jeszcze — tysiące liczyła świadków. Toć karta polityczna Europy do niedawna z miesiąca na miesiąc, zmieniała swe kontury graniczne, toć uralscy kozacy dobywali Paryża, neapolitańczycy szli na Moskwę, Polacy na San-Domingo, mamelucy na Wiedeń; całe potencje zapadały się w oczach współczesnych i w oczach tychże współczesnych dźwigały się z gruzów.

I ziemie zaniemeńskie wierzyły, ufały głęboko w rychłe zorzy zmartwychwstanie.

DCN.



## MAJOWE ŚWIĘTO.

## II.

Ochłonawszy z pierwszego wrażenia, Mania Szymkiewiczówna podchwyciła słowa pieśni i poczęła śpiewać razem z innymi. Szli w pierwszych szeregach. Władek maszerował rozpromieniony i uszczęśliwiony. Ponad głowami tłumu zakołysało się w powietrzu kilka czerwonych chorągwi. Wiatr trzepotał niemi zlekka i cienie tak się rozkładały na materyi, że zdawało się naprawdę, że chorągwie są unurzane w żywej krwi ludzkiej. Władkowi aż dusza rosła z uciechy. Wsunął rękę w kieszeni i nerwowo ścisnął rękojeść brauninga. Nigdy w życiu jeszcze nie czuł się tak silnym jak w tej chwili. Ludzie szli ciasno, tak że się jedni wciąż ocierali o drugich i Władek zatracił chwilami zupełnie poczucie swej odrębności od reszty tłumu. Zdawało mu się, że gdyby pociąg kurjerski między nich wpuścić to i toby nie przeszedł... lokomotywa ugrzęzłaby w tłumie.

Władek Zieliński należał do organizacji od kilku miesięcy i był tak zwanym w języku partyjnym „dromaderem“ to jest praktykantem, używanym do pomniejszych posług. Rozlepiał proklamacje na mieście, przewoził z miejsca na miejsce transporty literatury rewolucyjnej, czasem broń, którą gromadzono, przygotowując się do rozpoczęcia teroru. Władek pracował dla partii z zapalem i szczerem poświęceniem—jednej rzeczy nie potrafił tylko, mianowicie bronić jej w dyskusjach od zarzutów przeciwników, należących do innych organizacyi. Bo, właściwie mówiąc, te wszystkie różnice obchodziły go bardzo mało, nie rozumiał jak się można było nieprzyjmować. Działalność rewolucyjna pociągała go romantycznym urokiem niebezpieczeństwa i grozy. Sam wtedy czuł się w swoim żywiole dopiero, kiedy trzeba było wymknąć się łapaczowi, który go śledził na ulicy, albo będąc obławowanym rewolwerami przejść przed samym nosem patrolu policyjnego.

Oczywiście w samych początkach był nieśmiały — przez brak przyzwyczajenia, bo odwagi posiadał zawsze dość. Ale kiedy pierwszy raz podczas przeprowadzki tajnej drukarni, którą trzeba było pośpiesznie w bezpieczne miejsce usunąć zobaczył za sobą na ulicy łapacza, taki go strach obleciał, że

do dziś dnia wspomnienie tej chwili przejmowało go wstydem. Zaczął kołować po ulicach, myśląc naiwnie, że w ten sposób uda mu się zmylić czujność ajenta. Ale tamten krok w krok szedł za nim. Władka rozpacz wreszcie ogarnęła. Uczuł się najzupełniej bezsilnym. I na Żytnej przechodząc koło kamienicy w której mieściło się konspiracyjne mieszkanie wpadł na górę. W mieszkaniu zastał czterech robotników, starych wygów, jeszcze z pierwszego „Proletaryatu“ tak otrząskanych z niebezpieczeństwami rewolucyjnego życia, że nic na nich nie wywierało wrażenia.

— Szpicel za mną chodzi— krzyknął przestraszony.

Tamci zaczęli się śmiać wszyscy.

— Przeprowadź go tu do nas... przekpiwał jeden.

A drugi dodał.

— A stójkowego gdzie na mieście nie widziałeś?

I kpili coraz gorzej. A on stał rozczarowany, nie wiedząc co na te wszystkie szyderstwa odpowiadać.

Wreszcie najstarszy z tych co byli w pokoju, mały, szpakowaty, śniady na twarzy, jak cygan, odezwał się poważniejszym tonem.

— Nie trzeba się bać. Dla naszego brata to swoja rzecz, że łapacz za nim chodzi. Poczoby byli łapacze? Drugi raz tylko, jak będzie lał za tobą to mu adresów nie pokazuj. A tego „zrob“, żeby się tu nie płał.

— Kiedy rewolweru nie mam— bąknął Władek.

— To tak gadaj od razu.

I dali mu „bull-dog“ z żółtą, drewnianą rączką. Gdy sobie teraz przypominał tą scenę to najbardziej chciało mu się śmiać z tego rewolweru. Szybko wybiegł na ulicę i począł się rozglądać dookoła, nie mogąc dostrzedz w pierwszej chwili ajenta. Zdjął go lęk, że może łapacz poszedł do cyrkułu po patrol i „nakryje“ zebranych w mieszkaniu. Znow sam nie wiedział co robić. Ale łapacz był na stanowisku, odszedł tylko o kilkadziesiąt kroków i przechadzał się przed bramą po przeciwległej stronie ulicy. Władek sam mu się wtedy nawinał przed oczy. Zmierzch już zapadał, począł mżyć drobny deszcz i ulica opustoszała. Prowadząc łapacza za sobą Władek wciąż, wciąż zwalniał kroku; słyszał wyraźnie odgłos jego kroków i nie oglądając się czuł, że odległość między

nimi wciąż się zmniejsza. Powoli odciągnął w kieszeni cyngiel od rewolweru. Zaciśnął zęby, żeby powstrzymać nerwowe drżenie ust. Potem, odwróciwszy się nagle, prawie na oślep strzelił przed siebie. Jakaś dziewczyna wybiegła z bramy na środek ulicy i poczęła krzyć piskliwym głosem:

— O... o... szpicla zabili!

A jemu odwinęła się kieszeń i w żaden sposób nie mógł rewolweru schować z powrotem. Aż palto rozdarł... Uciekły do zakrętu ulicy zwolnił kroku, żeby nie zwracać na siebie uwagi. Ale wciąż drżał jak w febrze. Dopiero wydotawszy się na Leszno, ochłonął trochę i, wsiadłszy w dorożkę, kazał się wieźć na plac Świętego Aleksandra.

Odżyła mu ta scena teraz nagle w pamięci, bo jeden z uczestników pochodu podobny był trochę z twarzy do owego łapacza. I myśląc o niej, czuł, jak się sam od owego czasu zmienił, teraz miał nerwy jak z drutu...

Pochód skręcił w Aleje Jerozolimskie. Władek szedł w milczeniu. Z początku śpiewał razem z innymi, ale od razu wziął za wysoko i zachrypił. Panna Szymkiewiczówna, zmęczona, także przestała śpiewać. Władek pochylił się ku niej.

— Wspaniale się udało, prawda.

— Cudownie, cudownie! — odparła rozentuzymowana.

I nagle tak silnie przytuliła się do niego, że aż poczerwieniał, zmieszany. W tej jednej chwili zmieniła mu się w oczach... Zarumieniona z rozwichrzonemi ponad czołem jasnymi włosami była cudna, jak zjawisko—zdawało się, że jaikś blask bije od niej promienny. Chciał coś powiedzieć, ale słowa uwięzły mu w gardle; roześmiał się tylko cicho, i wyciągając rękę objął ją w pól i przycisnął do siebie. Podała mu się, choć byli między ludźmi w tłumie. I tak szli kilka chwil. Panna Szymkiewiczówna przymknęła oczy. Spozstrzegł to i obejmując ją coraz silniej, prowadził ostrożnie, ostrożnie...

Nagle spozstrzegł przerażony, że z pod jej przymkniętych powiek wypłynęły dwie łzy na policzki.

— Czego pani płacze?

— Nic... nic...

Podniosła ku niemu głowę i już jej oczy śmiały się radośnie, choć jeszcze były załamane.

Władkowi aż dech zatamowało



w piersiach. Teraz dopiero wszystko zrozumiał naprawdę. „A to dużej ze mnie“—krzyknęło mu coś w duszy, ale tak wesoło, jakby to była najszczęśliwsza nowina. Gdy tylko poznał Szymkiewiczów przed kilkoma miesiącami, od razu przylgnął do nich. Z początku przychodził raz na tydzień, jak inni, później częściej, częściej i tak się wreszcie zadowolił, że już dnia nie było, żeby choć na pół godziny nie wpadł. Ale nigdy się nad tem nie zastanawiał, co go tam właściwie ciągnęło. Pochłonięty partyjną robotą, marzeniami o rewolucyjnym zwycięstwie nie miał czasu myśleć o innych rzeczach, a raczej czas miał, ale inne myśli nie przychodziły mu do głowy.—Mańka, Mańka—powtarzał w duszy, patrząc na nią z jakimś nieznanym mu, serdecznym, miękkim roztkliwieniem.

— Niech mnie pan tak nie trzyma... ludzie patrzą—szepnęła cicho. Puścił ją, ale wzięli się za ręce i tak szli dalej.

Rewolucyjna pieśń huczała ponad głowami tłumu, każda strofa zrywała się jak straszny krzyk buntu i rozpacz. Podnieceni rytmem melodyj, która elektryzowała nerwy, ludzie szli równo, twarzą i w każdym rości poczucie takiej mocy, jakgdyby on sam był całym, tysiącnym tłumem. Łagodnie, wiosenne słońce stroiło przed nimi ulicę w złote blaski i zdawało się, że wszystko ustępuje im z drogi, że już idą po zwycięstwo i tryumf.

Władek szedł jak zahypnotyzowany. Doznawał chwilami wrażenia, że nie sam idzie tylko tłum unosi go jak fala. Z uczuciem niewypowiedzianej rozkoszy, która przepęłniała mu duszę, łączyła się jeszcze radość, że to co się między nimi stało, stało się właśnie podczas pochodu w uroczysty, świąteczny dzień o którym marzył razem z innymi od dawna.

— Nie zmęczona pani?—odezwał się nagle, czując, że panna Szymkiewiczówna opiera mu się coraz mocniej na rękę.

— Nie, nie — odparła gorączkowo.

Po krótkiej, jak mgnienie oka chwili upojenia, która omroczyła jej myśli i zmysły, zbudził się w niej nagle nieokreślony wstyd i żal, coś jakby wyrzut sumienia, że się nie mogła oprzeć swemu szczęściu—podczas gdy wszyscy dookoła przejęci byli tylko jedną wspólną myślą o krzywdzie, walce i zwycięstwie. Wstyd jej było spojrzeć nawet na Władka. Tuliła się do niego, bo to już wydawało jej się czemś naturalnym i koniecznym, ale nie mogła sobie darować tego sa-

molubnego wybuchu. Nękała ją trwoga, gorsza od wszystkich, że i we Władka oczach przeto zmaleje.

Tłum zakochał się nagle tak gwałtownie, że ludzie powpadali na siebie. Mignął jej w oczach wysoki, pomalowany wapnem parkan i na nim niebieska tabliczka z białą cyfrą 101.

### III.

Poza ścianą jacyś ludzie rozmawiali podniesionymi głosami. Od czasu do czasu do uszu Władka dolatywały oddzielne wyrazy. Drażniło go to, bo każdy taki wyraz rozrywał mu myśli. A on chciał ciszy, ciszy, żeby mózg wszystko sobie przypomnieć.

Siedział na łóżku, skulony, jakby zastygły w jednej nieruchomej pozycji. Okno było do połowy zasłonięte roletą i pokój tonął już w zupełnym mroku.

Głowa go bolała od szalonego, rozpaczliwego wysiłku pamięci. Jedną rzecz chciał sobie przypomnieć i nie mógł. Panna Szymkiewiczówna zaczęła coś do niego mówić „Panie Władku“. W tej samej chwili pobladła nagle i cicho bez westchnienia osunęła mu się na rękę. Na jej szarym żakietiku zacerwieśniała się niewielka plama, jak gdyby jej kto różę przypiął do piersi. Jeszcze parę razy poruszyła ustami i wysliznąwszy mu się z rąk, upadła na ziemię. Usłyszał, jak stuknęła ciężko głową o kamień.

Otóż miał wrażenie, że po tem „Panie Władku“ coś powiedziała jeszcze, ale co—tego właśnie w żaden sposób nie mógł sobie przypomnieć. Zamroczyło mu pamięć zupełnie.

Był tak znużony, że chwilami, nie tracąc świadomości, zapadał w półsen. Wtedy wszystko płatało i mieszało mu się w głowie.

Do pokoju wszedł wysoki szczupły mężczyzna w mundurze studenta Politechniki.

— Jakże wam towarzyszu?

— Dobrze — odparł spokojnie.

I po chwili machinalnie dodał.

— A co na mieście?

— Teraz spokojnie — odparł student, zbliżając się do okna. Otworzę, bo tu duszno—dodał.

Władek skinął potakująco głową. Kiedy student uchylił okna, doleciał ich z ulicy głuchy tupot kopyt końskich po bruku.

Powoli, przeciągając się, Władek, wstał z łóżka. Taki był osłabiony, jakgdyby przebył długą, ciężką chorobę.

— Nie wiecie, dużo zginęło?

— Sporo.

Zaklął z cicha.

— Ale wam się udało—ciągnął politechnik.—Macie tu ubranie—dodał wskazując na krzesiło, które stało koło łóżka.—Zdaje się, że będzie na was dobre.

— A moje?

— Przecież wasze na strzępy podarte.

Teraz dopiero przypomniał sobie, że przeskakując przez parkan zawadził o jakiś gwóźdź marynarką i rozdarł ją przez całą długość. Raz po raz bez związku przypominał sobie jakieś szczegóły ucieczki. Starał się je usystematyzować. Kiedy Mańka upadła, już było dookoła pusto. Tylko trupy leżały na bruku. Dwie kulki świsnęły mu koło uszu. Skoczył pod parkan i założywszy nowy magazyn zaczął sam strzelać. Potem ktoś pociągnął go z tyłu i nagle znalazł się na dużym podwórzu, gdzie były doły z wapnem. Zostało mu wrażenie oslepiającej białości. Wdrapał się na dach jakiejś drewnianej szopy i stamtąd skoczył między deski. Teraz dopiero zdjął go podziw. Tak skoczył, jak gdyby mu skrzydła u ramion urosły. Słyszał za sobą krzyk i strzały.

— A tak, udało mi się — odezwał się z nieokreślonym uśmiechem.

Student nic mu nie odpowiedział. Usiadł na krześle, zapalił papierosa i zamyślony, zaczął pogwizdywać z cicha. Władek znów się wyciągnął na łóżku. Założył ręce pod głowę i leżał nieruchomo, wpatrując się w czerwone światelko papierosa, które zarzyło się w ciemności. Rozmowa w sąsiednim pokoju umilkła. Przez otwarte okno płynęło z ulicy duszne, wiosenne powietrze i raz po raz dolatywał z dołu miarowy tupot koński przejeżdżających patroli.

Władek zatrząsł się nagle jak w febrze. Znów najwyraźniej stuknęło mu w uszach, tak jak wtedy, gdy panna Szymkiewiczówna uderzyła głową o kamień.

— Na poprawkę—pomyślał.

I zły, że mu to wciąż i wciąż na myśl wracało zaczął klnąć głośno.

— A niech to wszystko jasna cholera porwie! Człowiek tylko sobie głowę zawraca i dyabli wiedzą poco!

— Cóż wy tak przeklinacie?—zadziwił się student.

Władek nic zrazu nie odpowiedział. Po chwili dopiero, odwracając się twarzą do ściany mruknął niechętnie:

— Takie tam różne sentymenty.



Arabowie obnosili dokoła owce. Śpiew zamilkł łagodnie. I tylko instrumenty grały jeszcze. Odległy tam-tam był istotnie biciem tego serca, w którego tajemnicę żadne ludzkie serce nie mogło wejść. Powtarzające się ponure uderzenia przejęły Domini prawie przestachem. Uczuła ulgę, chociaż żałowała, kiedy wreszcie ustały.

— Czy przejdziemy do przedpokoju? — rzekł hrabia. — Podadzą nam tam kawę.

— O! ale nie patrzmy na nich! — zawołała Domini.

— Na muzykantów?

Skinęła głową.

— Chciałaby pani, żeby już nie grali?

— Jeżeli to panu nie zrobi różnicy.

Dał rozkaz po arabsku. Jeden ze służących wyśliznął się i powrócił prawie natychmiast.

— Teraz możemy już iść — rzekł hrabia. — Już poszli sobie.

Ksiądz westchnął. Było wiadocznem, że muzyka wzruszyła go także. Kiedy powstał z miejsc, rzekł:

— Tak jest, w pieśni tej było piękno i jeszcze coś więcej. Niejeden z tych poetów pustyni może nauczyć nas myśleć.

— Lekcja to może być niebezpieczna czasami — rzekł hrabia. — Jak panu się zdaje, panie Androwski?

Androwski powstał. Oczy jego zwróciły się ku drzwiom, przez które dochodziły przed chwilą dźwięki muzyki.

— Ja! — odrzekł. — Ja, proszę pana, — przykro mi bardzo, ale ta muzyka mało mnie obchodzi. Nie mogę wyrzec o niej zdania.

— Ale słowa? — zapytał hrabia z pewnym naciskiem.

— Słowa nie więcej do mnie przemawiają od muzyki.

Hrabia nic nie rzekł. Gdy przechodzili do przyległej komnaty, Domini uczuła złość, jak wtedy w ogrodzie Sidi-Zerzura, kiedy Androwski rzekł:

— Tutejsze kobiety nie obchodzą mnie zgoła. Nie widzę w nich nic pociągającego.

Bowiem obecnie, jak i wtenczas, wiedziała, że kłamał.

## XI.

Domini przeszła do przedpokoju sama. Trzej panowie zatrzymali się na chwilę za nią, i trzask zapalanej zapałki doszedł do jej uszu, gdy przyszła biernie ku

drzwiom, które były otwarte na wielką ścieżkę ogrodową, i stała, patrząc, w blasku słonecznym. Poprzez migotanie złota tu i owdzie fruwały motyle, a od cienia drzew usłyszała nikle ćwierkania ptaków, pomnożone przez oddalone jeszcze bardziej trele fletu Larbiego. Z lewej, po przez palmy, dostrzegła błyski pustyni i surowych, błyszczących gór, i gdy tak stała tutaj, uprzytomniła sobie wrażenie przy pierwszym wejściu do ogrodu i jak prędko nauczyła się już kochać go. Aż do tej chwili zdał się on jej zawsze rajem słonecznym. Lecz teraz czuła, iż jakgdyby zaciągnął się chmurami. Płochy ruch motyli drażnił jej oczy, odległy dźwięk fletu ranił jej uszy, przepadł cały jej pokój. I znowu człowiek ten popsuł czar, który przyroda rzuciła na nią. Bowiem wiedziała, iż kłamał, — radość jej w ogrodzie, radość głębsza w pustyni, która ją obejmowała, została w niej zburzona. A dlaczegożby nie miał skłamać? Któż z nas nie kłamie swoich uczuć?

Usłyszała towarzyszków swych wchodzących do pokoju i obróciła się. W tej chwili przez serce jej przeszło uczucie jakgdyby nienawiści dla Androwskiego. I dlatego właśnie uśmiechnęła się. Zbudziła się w niej raptowna wesołość. Siadła na jednej z niskich kanapek i, gdy poprosiła hrabiego Anteonego o papierosa i zapalała go, myślała: — Jak ja go ukarzę? — Kłamstwo to, chociaż nie do niej wyrzeczone i w rzeczy tak błahej, zdało się jej napaścią, którą ona odczuła i którą winna była odparować. Ani na chwilę nie zapytała się, czy miała rację. Głos wewnątrz niej mówił: — Nie chcę być okłamywaną, nie zniosę kłamstwa od tego człowieka w mej obecności, nawet skierowanego do kogo innego. — I głos ten był rozkazujący.

Hrabia Anteoni zajął miejsce obok niej, paląc cygaro. Ksiądz Roubier siadł przy małym stoliku naprzeciwko niej. Lecz Androwski skierował się ku drzwiom, które ona tylko co opuściła, i stanął, jak ona stała, patrząc w blask słońca. Bu-Bu poszła za nim i zalecała się przyjaźnie koło jego nóg, próbując ściągnąć uwagę.

— Moja psina zdaje się bardzo polubiła pani przyjaciela — rzekł ksiądz do Domini.

— Mojego przyjaciela?

— Pana Androwskiego.

Zniżyła głos.

— To tylko przelotna znajomość. Nic nie wiem o nim.

Ksiądz spojrział uprzejmie zdziwiony, a hrabia Anteoni wypuścił wonny obłok dymu.

— Zdaje mi się, że to godny uwagi człowiek — rzekł ksiądz łagodnie.

— Tak ksiądz sądzi?

Poczęła opowiadać hrabiemu Anteoniu jakieś głupstwo o Batuczu, zmuszając myśli do lekkości i płochości, a on jej wtórzył zęcnie i ulegle, za co w głębi była mu bardzo wdzięczną. Przez chwilę śmiały się razem z pozorną wesołością, i ksiądz Roubier uśmiechał się niewinnie na to lekkie usposobienie ducha, wierząc w jego szczerość. Lecz Androwski obrócił się naraz z wyrazem twarzy chmurnym i surowym.

— Prosimy do nas z tego blasku słońca, — rzekł hrabia. — Nazbyt silne ono. Oto fotel. Zaraz będzie kawa... Otóż jest już.

Zjawili się służący, wnosząc ją.

— Dziękuję panu — rzekł Androwski z niechętną grzecznością.

Zbliżył się ku nim z postanowieniem i siadł, przesuwając krzesło, aż było nawprost Domini. Zaledwie się usadowił, Bu-bu wskoczyła mu na kolana i położyła się śpiesznie, mrużąc oczy, które były prawie całkiem zakryte włosami, i wydając westchnienie, które zniewoliło księdza do czułego wejrzania, mimo że ozwał się strofująco:

— Bu-Bu! Bu-bu! Brzydkie stworzenie, proszę małe — zejź!

— Niech go pan zostawi — ozwał się mrukliwie Androwski. — Nie przeszkadza mi.

— Nie ma istotnie wstydu, gdy serce jego ruszone.

— Arab! — rzekł hrabia. — Nauczył się tego w Beni-Mora.

— Może brał lekcje od Larbiego — rzekła Domini. — Proszę słuchać! Gra dzisiaj. Dla kogo?

— Nie pytam już teraz — rzekł hrabia. — Imię zmienia się tak często...

— Stałość nie jest wadą arabów? — spytała Domini.

— Pani mówi: „wadą“ — wtrącił ksiądz.

— Tak, proszę księdza — zwróciła się ku niemu z lekkim odcieniem świadomego cynizmu. — Oczywiście, w świecie tym to wszystko, co pociąga za sobą nieuniknione nieszczęście, musi być poczytywane, jako wada.

— Lecz czyli stałość to sprwadza?

— W tym świecie nieustannej zmienności — czyżby sądził ksiądz, że jest inaczej?

— Jakże tedy mamy uważać prawdę w tym świecie kłamstwa? — zapytał hrabia. — Zali to błąd także?

— Niech pan zapyta pana Androwskiego — rzekła Domini prędko.

— Jestem posłuszny — rzekł hrabia, zwracając się ku gościowi.

— Ach, ale jestem pewna, że wiem — dodała Domini. — Jestem pewna, że pan uważasz prawdę za coś, czegośmy winni unikać na tym naszym świecie. Czyż nie tak, panie?

— Jeżeli pani jest pewną, pocóż pani mnie pyta? — odrzekł Androwski.

W głosie jego był dźwięk, który wstrząsał. Ksiądz raptownie wyciągnął rękę i przełożył Bu-Bu na swoje kolana, a hrabia Anteoni wtrącił zlekka i obojętnie:

— Mówienie prawdy pośród arabów staje się przykrą koniecznością dla Europejczyka, ponieważ nie można ich przekłamać, a nie wypada pozostać na drugim miejscu w stosunku do Wschodu. I dlatego — choć z zalem — trzeba się nauczyć być szczerym. Ksiądz Roubier jest zgorzony tą apologią mej własnej przymusowej prawdomówności.

Ksiądz roześmiał się.

— Zyję tak mało w tem, co zwie się „światem“, że obawiam się, bym nie był gotów wziąć żartu za całkiem poważne wygłoszenie zdania.

Pogłaskał grzbiet Bu-Bu i dodał z tą prostą dobroduszością, która zdawała się pochodzić raczej z chęci uprzejmości, niżli ze źródeł jakiegoś temperamentu:

— Ale mam nadzieję, że będę zawsze zdolny do cieszenia się z niewinnej zabawy.

Gdy mówił to, oczy jego zatrzymały się na twarzy Androwskiego, i naraz spojrzął poważnie i złożył grzecznie Bu-Bu na podłogę.

— Przykro mi bardzo, że muszę odejść — rzekł.

— Już? — rzekł gospodarz.

— Nie mogę pozwalać sobie na tak długie lenistwo. W klimacie tym, gdy raz tylko pozwolić sobie na lenistwo, człowiek staje się podobnym do araba, który nic nie robi cały dzień, tylko siedzi na słońcu.

— Tak, jak ja to czynię. Spotykamy się z księdzem bardzo rzadko, za każdym atoli razem, gdy się spotkamy, czuję, że jestem darmożjadem na świecie.

Domini nie słyszała jeszcze

dotąd, by mówił z taką pokorą. Ksiądz zaczerwienił się, jak żak.

— Każdy z nas działa na własnej ścieżce — rzekł prędko. — Arab, który siedzi cały dzień na słońcu, może jest wysłuchany, jako pieśń modlitwy, tam, gdzie On króluje.

Z temi słowy pożegnał się. Tym razem jednak nie wyciągnął ręki do Androwskiego, lecz tylko skłonił mu się, skinąwszy białym kapeluszem. Gdy wyszedł na słońce wraz z Bu-Bu, troje pozostałych przeprowadzało go oczyma. Bo wiem Androwski zwrócił swe krzesło w tę stronę, jakby mimowoli.

— Nauczę się kochać księdza Roubier — rzekła Domini.

Androwski znowu obrócił się wraz z krzesłem ku ogrodowi i położył swe wielkie kiście rąk na kolanach.

— Tak? — rzekł hrabia.

— On jest tak przejrzyście dobry i tak przepięknie znosi swe wielkie rozczarowanie.

— Jakież to wielkie rozczarowanie?

— Pragnął być zostać zakonnikiem.

Androwski powstał z miejsca i skierował się ku drzwiom ogrodu. Niespokojne zachowanie się jego i wyraz zgnębiony burzyły wszystką treść pogody i wypoczynku. Hrabia Anteoni spojrzął wolno za nim, a potem na Domini z rodzajem żartobliwego zdziwienia. Właśnie chciał przemówić, gdy zjawił się Smain, niosąc z szacunkiem wielką kopertę, okrytą arabskimi znakami.

— Państwo mi wybaczcie na chwilę? — rzekł hrabia.

— Oczywiście.

Wziął list do ręki, i wyraz żywego uniesienia odbił się od razu w jego jasnym oczach. Gdy go odczytał, na twarzy jego był blask, jakgdyby płomienie ognia igrały na niej.

— Panno Enfilden — rzekł, — czy pani nie policzy mi za wielką niegrzeczność, jeżeli ją opuszczę na chwilę? Poseł, który to przyniósł, przybył z daleka i dzisiaj jeszcze rusza w podróż powrotną. Przybył on z południa, z miejscowości, odległej o 300 kilometrów, z Beni-Hassana, z miejsca świętego — z miejsca świętego.

Powtórzył ostatnie wyrazy, zniżając głos.

— Naturalnie, proszę iść i załatwić go.

— A pan?

Spojrzął ku Androwskiemu, który stał obrócony do nich plecami.

— Może pani zechce pokazać ogród panu Androwskiemu?

Usłyszawszy swe nazwisko, An-

drowski obrócił się, a hrabia Anteoni, raz jeszcze przeprosiwszy go, w towarzystwie Smaina skierował się ku furcie ogrodu, niosąc w ręku list, który przybył z Beni-Hassana.

Gdy hrabia Anteoni wyszedł, Domini pozostała na kanapie, a Androwski przy drzwiach, z oczyma spuszczone. Wzięła świeżego papierosa z pudełka na stoliku, który stał obok, potarła zapałkę i zapaliła go starannie. A potem rzekła:

— Czy chce pan zobaczyć ogród?

Wyrzekła obojętnie i chłodno. Pragnienie pokazania mu tego rajy odbiegło ją, lecz słowa Anteonego na odchodnym poruszyły tę sprawę — i oto zwróciła się do niego, jak do obcego.

— Dziękuję pani... proszę — odrzekł jakgdyby z wysiłkiem.

Domini wstała, i wyszli razem na wielką drogę.

— Którędy mamy iść? — zapytała.

Ujrzała, iż rzucił na nią szybkie spojrzenie z niepokojem w oczach.

— Pani wie lepiej, dokąd mamy iść.

— Mnie się zdaje, że panu to wszystko jedno. Najwidoczniej ogród nie interesuje pana. Nie może być tedy mowy o ścieżce. Wszystkie one dla pana są bardzo jednakie.

— Jestem pewny, że wszystkie są bardzo piękne.

Naraz stał się pokorny i trwożny o to, by się jej podobać. Lecz ten gwałtowny kontrast w nim, jak ów gwałtowny kontrast przyrody tego kraju, doprowadził ją do ostatecznej rozpaczy. Pragnęła teraz pozostać sama. Wstyd jej było Androwskiego, wstyd jej było siebie. Wyrzucała sobie gorzko zainteresowanie, jakie powzięła względem niego, pragnienie sprowadzenia trochę przyjemności do jego życia, które mniemała, iż jest smutnem, ciekawość swą, chęć podzielenia z nim radości. Śmiała się teraz w duszy z tego i nazywała szaleństwem, iż w wyobraźni swej łączyła go z pustynią, kiedy on w rzeczywistości, za każdym zbliżeniem do pustyni, pozbawiał ją piękna i cudowności. Była to osobistość burząca. Wiedziała już teraz o tem. Dlaczego nie uprzytomniła sobie tego przedtem? Był to człowiek, który wrzucał żółć do czary przyjemności, tworzył niesnaskę, samopoczucie, krępował wszystko dokoła, sprostował widma na ucztę życia. Tak jest, w przyszłości będzie stroniła od niego. Zaraz jutro zerwie z nim wszelkie stosunki. Wraz z tą myślą, z tem poczuciem wewnątrz-



nem całkowitej swobody względem tego człowieka, spadło na nią raptowne, lecz prawie zimne zadowolenie, odsuwające go daleko od niej, gdzie wszystko, co czuł i myślał, było dla niej zgoła obojętnem.

— Chodźmy tedy — rzekła. — Pójdziemy tą drogą.

Skręciła w aleję, która wiodła do przybytku purpurowego psa. Na razie nie mogła wiedzieć, co wpłynęło na nią, iż wybrała tę osobliwą ścieżkę, lecz po krótkiej chwili dźwięk fletu Larbiego wzmógł się głośniej i wtedy zrozumiała, iż to muzyka pociągnęła ją. Androwski szedł koło niej milczący. Czowała, iż nie patrzył na nic i na nic nie zwracał uwagi; zatrzymała się tedy z mocnym postanowieniem.

— Poco my się trudzimy? — rzekła oschle. — Nienawidzę udawania i sądzę, że nie po to przyjechałam tu z tak daleka. Tymczasem oboje udajemy.

— Udajemy, proszę pani? — rzekł zdziwiony.

— Tak jest. Ja — iż chcę panu pokazać ogród, pan — iż chcesz go oglądać. Ja już nie pragnę pokazywać go panu, a pan nigdy nie życzył sobie widzieć go. Przystań-

my tedy udawać. Cała wina ode mnie pochodzi. Nudziłam pana, żeby tu przyszedł, kiedy pan nie chciał przyjść. Dał mi pan naukę. Miałam ochotę gniewać się o to na pana. Lecz teraz widzę, że miał pan słuszność. Swoboda jest mojem hasłem. Daję panu swobodę, panie Androwski. Do widzenia.

Gdy to mówiła, czuła, iż powietrze wyjaśnia się i chmury pierzchają. Skrępowanie to skończyło się wreszcie. I miała istotnie wrażenie, iż wyzwala więźnia na swobodę. Obróciła się, by go opuścić, lecz on rzekł:

— Przepraszam, proszę się zatrzymać.

— Cóż takiego?

— Pani popełnia błąd.

— Jaki?

— Ja pragnę obejrzeć ogród.

— Istotnie? Może go pan tedy sobie oglądać.

— Ja nie życzę sobie oglądać go sam.

— Larbi będzie pańskim przewodnikiem. Za pół franka chętnie przerwie swoje serenady.

— Jeżeli pani nie chce mi pokazać ogrodu, ja nie życzę sobie widzieć go zupełnie. Pójdę stąd

i nigdy już tu nie powrócę. Ja nie udaję.

— Ach! — rzekła, a głos jej był całkiem zmieniony. — Za to pan robi gorzej.

— Gorzej?

— Tak jest. Kłamie pan w obliczu Afryki.

Nie miała chęci, ani zamiaru powiedzieć mu tego, a jednak powiedziała. Wiedziała, że to było potwornem, co mu powiedziała. Co jej do jego kłamstw? Sama popełniła tysiące kłamstw, tysiące słyszała od innych. Życie jej upłynęło w świecie, który tak dobitnie, jakkolwiek wypowiedziane przelotnie, określają słowa Psalmisty. Inie myślała, by dbała o to. A jednak istotnie dbała. Rzucając bowiem ten świat, jak gdyby nareszcie odetchnęła głęboko. I teraz oto na samo wspomnienie kłamstwa zżymała się instynktownie i cofała się, jak od zatrutych i duszących wyziewów.

— Proszę mi wybaczyć — dodała. — Jestem szalona. Ale tutaj ja ukochałam prawdę.

Androwski spuścił oczy. Cała jego postawa wyrażała pokorę i coś, co wzbudzało w niej rozpacz.

DCN.

## WIADOMOŚCI LITERACKIE.

### Polonica.

*Polacy u Czechów.* W piśmiennictwie czeskim wzmógł się w ostatnich czasach znacznie ruch przekładów z literatury polskiej. J. Rozvoda tłumaczy najnowszą powieść Sienkiewicza: „Wiry”; felieton „Nar. List.” zamieszcza przekład „Pecioliów” Żeromskiego, pióra F. Vondraczka, znanego tłumacza dzieł Rydla i Przybyszewskiego. Jednocześnie zapowiedziane są przez nakładców czeskich przekłady dzieł: Reymenta, Daniłowskiego, Zapolskiej, Kosiakiewicza, Sclavusa, Perzyńskiego.

*Polacy na Węgrzech.* W Budapeszcie ukazały się w przekładzie węgierskim p. W. Hiadlovsky'ego nowele Kazimierza Tetmajera i Stefana Żeromskiego. Znajduje się tu między innymi przekład noweli Tetmajera „Książd Piotr”. Przekład poprzedza wstęp tłumacza, zawierający obszerną charakterystykę działalności obu autorów. W teatrze „Magyar Shinar” w Budapeszcie wystawiono Zapolskiej „Moralność pani Dulskiej”, z wielkim sukcesem scenicznym.

*Niewydany list Chopina.* Świeżo opublikowany a nieznany list Chopina daje ciekawe objaśnienie do opery komicznej Jana Jakóba Rousseau „Devin de village”. Chopin pisze w grudniu r. 1845 do jednego z członków swojej rodziny, że zwiedził Chenonceaux, zamek historyczny, który należał niegdyś przez pewien czas do pana Dupin, dziadka p. George Sand. Rousseau był jego sekretarzem. „George Sand — pisze Chopin — odnalazła tam korespondencję Rousseau'a z panem Dupin. I w małym oto teatrzyku, jak się dowiaduję z tej korespondencji, znajdującym się w zamku Chenonceaux, „Devin de Village” przedstawiony był po raz pierw-

szy. Pan Dupin napisał do sztuki uwer-turę”.

### Nowe powieści francuskie.

*Edward Rod: „Les amis”.* Pod takim tytułem utalentowany autor francuski napisał powieść, która wywołała w świecie literackim Paryża duże zainteresowanie ze względu na jej tendencję. Jestto historia licznej rodziny wolnomyślnego uczonego, astronoma z zawodu, który jest rzecznikiem wolnych związków między mężczyzną i kobietą. Autor zaprzagnął przedstawić strony dodatnie i ujemne tej kwestyi, jak również i niebezpieczeństwa, na jakie narażone są żyjące ze sobą w wolnym związku jednostki. Uczony, który nosi najwidoczniej rysy wielkiego geografa Reclus'a, dla siebie pomyślnie rozwiązał owo zagadnienie społeczne; córki jego wszakże i „zięciowie” nie są do niego podobni — i stosunek, pozbawiony opieki prawa, w jakim żyją, utrudnia im sytuację życiową; jednym — z powodu okoliczności zewnętrznych, innym z powodu rozterki duchowej. Książkę, opartą na temacie nowszym, czyta się z zajęciem.

### Z literatury włoskiej.

*Nowe utwory d'Annunzia.* Znakomity poeta włoski pracuje obecnie gorączkowo, jak objaśnił współpracownika rzymskiej „Tribuny”, nad wykończeniem całego szeregu swoich utworów, gdyż, jak oznajmił, w ciągu czterech do pięciu tygodni zamierza umrzeć. Tajemnicę tę potwierzył interwiewerowi z następującym komentarzem: „Oczywiście, nie wiadomo panu, że przepowiedziano mi śmierć za kilka tygodni. Nie żartuję bynajmniej. Być nie może, iż prze-

powiednia przesadziła, jednakże nie może mylić się o lata. Zresztą, czy pan może wyobrazić sobie d'Annunzia postarzałego, nie mogącego pracować, jak teraz, jeździć konno, no i... kochać się?” W dalszym ciągu rozmowy zawiadomiliśmy d'Annunzio dziennikarza, że pisze rodzaj testamentu poetyckiego, p. t. „Iskry młota”, zawierającego historię wszechchrzestny. Dalej zamierza napisać dramat „La pieta” i powieść od dawna zapowiadaną „Forse, che si, forse, che no” — „Może tak, a może nie”. Powieść ta ma wyjść z druku w listopadzie.

### TREŚĆ NUMERU 27-go.

Emilia Plater. *Wacław Gąsiorowski.*  
Majowe święto. *Włodz. Perzyński.*  
Ogród Allaha. *Robert Hichens.*  
Wiadomości literackie.

PRENUMERATA wynosi z przesyłką pocztową: 4 rb. rocznie, 2 rb. półrocznie; 1 rb. kwartalnie.

BIURO REDAKCYI I ADMINISTRACYI:  
Aleja Jerozolimska, № 49.

REDAKTOR I WYDAWCA:  
Józef Jankowski,

Redaktor odpowiedzialny na Galicyę: Antoni Chołoniewski, Kraków, ul. Zyblikiewicza, № 8.

Druk Tow. S. Orgelbranda S-ów w Warszawie